Ks. Tomasz WĘCŁAWSKI

PRZYSZŁOŚCIĄ KOŚCIOŁA JEST BÓG*

Kościół od pierwszego do ostatniego dnia swojego istnienia w tym świecie ma przyszłość nie inaczej, niż ma ją Jezus, który dla nas i dla naszego zbawienia umarł na krzyżu i został pogrzebany. Jeśli ten Jezus zmartwychwstał, jeśli zatem za sprawą Boga, który Go wskrzesił, ma przyszłość, chociaż jej mieć nie powinien, co więcej, za sprawą Boga ma przyszłość taką, jakiej w żadnym razie jako człowiek odrzucony przez ludzi i Boga i dlatego zabity, nie powinien mieć, to i Kościół może (i powinien) spodziewać się siebie samego w przyszłości, która bynajmniej nie wyrasta w sposób zwyczajny i zwyczajnie oczywisty z jego przeszłości i teraźniejszości.

Zaproponowano mi sformułowanie tematu, które – jakkolwiek może budzić pewne zdziwienie – w istocie wskazuje jedyną możliwość teologicznie odpowiedzialnego mówienia o przyszłości Kościoła. Można próbować mówić o przyszłości Kościoła posługując się narzędziami innymi niż teologiczne – na przykład narzędziami wiedzy o religiach, historii idei, historii kultury, socjologii czy szerzej – narzędziami prognoz społecznych i cywilizacyjnych. Można również próbować przedstawiać albo wręcz przywoływać oczekiwaną przyszłość Kościoła zestawiając katalogi postulatów czy też jedynie marzeń wyprowadzanych z mniej lub bardziej określonego wyobrażenia o Kościele. Na przełomie stuleci i tysiącleci jesteśmy wciąż na nowo (i pewnie jeszcze nie raz będziemy) świadkami takich usiłowań – całkiem udanych i zupełnie nieudanych. Jeden z wybitnych przedstawicieli współczesnego Kościoła, do którego myśli chciałbym nawiązać w zakończeniu tego wystąpienia, ujął to w poruszające słowa: „Alla fine del millennio lasciateci sognare..." – „U końca tysiąclecia pozwólmy sobie na marzenie..."[1]. Brzmi to podobnie mocno, jak słowa: „I have a dream...", wypowiedziane kiedyś przez innego wybitnego chrześcijanina mijającego właśnie stulecia wobec krzyczącej niesprawiedliwości dotykającej ludzi z powodu koloru ich skóry.

W stosunku do Kościoła jednak taka droga pytania o przyszłość i poszukiwania jej jako czegoś nowego i lepszego, jako w pełni usprawiedliwionego i pełnego mocy marzenia, okazuje się ostatecznie wtórna, żeby nie powiedzieć drugorzędna, i ma sens tylko pod tym warunkiem, że najpierw zdamy sobie

---

* Wykład wygłoszony 5 XII 2000 r. w ramach Konwersatorium Myśli Jana Pawła II w cyklu: „Deus homo... Cur? – Bóg Człowiekiem... Dlaczego? Chrześcijaństwo na progu trzeciego tysiąclecia".

[1] C. M. M a r t i n i, *Alla fine del Millennio lasciateci sognare*, Casale Monferrato 1997, s. 222.

sprawę z czegoś o wiele bardziej podstawowego. Zanim spróbujemy to zrobić, przyjrzyjmy się jeszcze przez chwilę istocie nieporozumienia związanego z prognozowaniem przyszłości Kościoła na podstawie dzisiejszego cywilizacyjnego, kulturowego i społecznego stanu rzeczy w tej czy innej części świata lub nawet w całym tak zwanym „świecie współczesnym".

Wielu twierdzi, że w dzisiejszej kulturowej sytuacji chrześcijaństwa, które „zarówno w swoim podającym się za uniwersalnie zbawczym objaśnieniu świata [...], jak też w płynącym stąd przekonaniu o możliwości stanowienia powszechnie wiążących norm praktycznej moralności, nie może już zyskać ogólnospołecznego rezonansu"[2], możliwe są generalnie dwie reakcje: albo „zwarcie kościelnych szeregów" – tak by własna i szczególna tożsamość Kościoła na dzisiejszym targowisku idei nie ulegała dla nikogo wątpliwości, albo próba przeniknięcia chaosu tego targowiska tak, jak to jest rzeczywiście możliwe – to znaczy za cenę rezygnacji z jednoznacznego organizacyjnego „domknięcia" Kościoła. Najostrzejsze spory wewnątrzkościelne toczą się dzisiaj wokół tych dwu możliwych reakcji na obecną sytuację.

Jest to jednak alternatywa w swojej istocie błędna. Rozstrzygnięcie, która z tych dróg jest właściwa, lub też znalezienie jeszcze innego wyjścia nie może przecież zależeć ani od okoliczności z punktu widzenia Kościoła czysto zewnętrznych – takich jak aktualne uwarunkowania cywilizacyjne, kulturowe czy społeczne, ani nawet od tego, jaką wiarą, jaką przenikliwością i jaką odwagą czy siłą wizji wykażą się ludzie odpowiedzialni za życie tego Kościoła w naszych czasach. Jedno i drugie nie jest oczywiście bez znaczenia, ale nie to jest dla przyszłości Kościoła Bożego rozstrzygające.

Jeśli rzeczywiście potrzebne jest dzisiaj pewne rozstrzygnięcie, to przecież jego źródło jest już dawno dane i obecne w rzeczywistości i w życiu Kościoła. Z nieco przesadnym radykalizmem można powiedzieć: istnienie Kościoła jako Kościoła całe jest dane w postaci tego rozstrzygnięcia. Reszta – czyli zmieniające się historyczne postaci społeczności kościelnej – jest tylko lepiej lub gorzej wydobytą jego konsekwencją. Powinniśmy zatem zapytać, czy istotę tego rozstrzygnięcia dostrzegamy – albo lepiej, czy gotowi jesteśmy dostrzec ją – także za cenę rezygnacji z naszych dotychczasowych kościelnych i „okołokościelnych" przyzwyczajeń?

Kierowane do Kościoła wezwania, by się odmieniał i reformował według wyzwań czasu (zarówno te wewnątrzkościelne, jak też płynące z zewnątrz), mają sens tylko wtedy, gdy są formułowane i przyjmowane w łączności z tym, czym Kościół jest „radykalnie" – to znaczy u swojego korzenia. I nie chodzi tu o przeciwstawienie tego, co w Kościele jest uwarunkowane czasem i dlatego zmienne, temu, co jest w nim trwałe i niezmienne. Nie chodzi też o równowagę między jego zewnętrznie uchwytną wewnętrzną tożsamością, a jego zdolnością

[2] M. K e h l, *Die Kirche. Eine katholische Eklesiologie*, Würzburg 1992, s. 171.

do akomodacji, autoreformy, przenikania i przemieniania także środowisk i kultur, wydawało by się, zupełnie mu nie odpowiadających, obcych albo wręcz nieprzyjaznych. Chodzi o powód, dla którego Kościół jest Kościołem.

W tym miejscu pozwolę sobie na mały ekskurs, związany z użytym właśnie słowem „powód". Podkreślam to słowo i odróżniam je od słów i pojęć pokrewnych mu i bliskich, a równocześnie zasadniczo innych – takich jak „przyczyna", „źródło" czy też „wytłumaczenie" lub „wyjaśnienie". Różnicę tę przedstawię, jak mi się zdaje, najprościej na przykładzie doświadczenia każdego z nas z sobą samym i z własnym takim lub innym postępowaniem. Otóż jestem w stanie w miarę dokładnie wyjaśnić, wytłumaczyć i opisać moje postępowanie, pokazując jego źródła i przyczyny w mojej przeszłości i w teraźniejszości. Taki opis będzie zapewne zupełnie wystarczający jako wyjaśnienie mojego postępowania. Moje postępowanie (cokolwiek istotnego robię) ma jednak równocześnie powód, którego nie mogę w ten sposób pokazać. Powód ten znajduje się nie w mojej przeszłości i teraźniejszości, ale raczej w mojej przyszłości – robię to właśnie, co robię, z tego właśnie powodu – to znaczy dlatego, że w ten sposób zmierzam do czegoś, do czego zmierzać chcę – nawet jeśli nie jestem w stanie jednoznacznie powiedzieć, czego chcę i do czego zmierzam. Robię to, co robię, bo mam nadzieję, że ma to sens, przestanę to robić, kiedy okaże się to bezsensowne – to znaczy przestanę, kiedy pojawi się powód, żeby przestać. Powód, który teraz mam na myśli, jest sam w sobie niewidzialny, bezcielesny i nieśmiertelny. Świadomie używam takich właśnie słów. Wydają mi się one na tym miejscu w pełni stosowne, a w szczególności słowo „nieśmiertelny". Chodzi o prawdziwie nie-śmiertelny powód naszego działania. Powód ten nie daje się bynajmniej jednoznacznie uchwycić także wtedy, gdy ukazują się skutki mojego działania, choćby tylko dlatego, że są one tak czy inaczej inne niż się spodziewałem, że zatem nie sięgają w gruncie rzeczy powodu mojego działania, w całej jego prawdzie. Można wobec tego powiedzieć, że w przestrzeni która jest przede mną, w przywołującej mnie przyszłości, zawsze jest pewien nadmiar, większy sens, coś, co mnie pociąga do działania, ale wcale się nie ujawnia w postaci uchwytnej, widzialnej i cielesnej teraźniejszości. I jeszcze: wiem o sobie, że jestem taką istotą, która nie może się ostatecznie pogodzić z tym, żeby taki nie-uwyraźniony w mojej widzialnej (doświadczalnej) historii „nadmiar sensu" miał pozostać nie-poznany i nie-doświadczony – nie tylko chcę, ale też czuję, że mam prawo wiedzieć, czym naprawdę była i czym jeszcze mogła być każda chwila, która teraz oto nadeszła ku mnie z przyszłości i przemija.

Ten mały ekskurs tylko pozornie odbiega od zasadniczej postawionej tu kwestii, to jest od pytania o powód, dla którego Kościół jest Kościołem. Postawione w tej perspektywie jest to przecież zarazem pytanie o przyszłość Kościoła jako Kościoła. Chciałbym teraz wprost do tego pytania powrócić, formułując zasadniczą tezę mojego wystąpienia.

Ta zasadnicza teza brzmi: Kościół od pierwszego do ostatniego dnia swojego istnienia w tym świecie ma przyszłość nie inaczej, niż ma ją Jezus, który dla nas i dla naszego zbawienia umarł na krzyżu i został pogrzebany. Jeśli ten Jezus zmartwychwstał, jeśli zatem za sprawą Boga, który Go wskrzesił, ma przyszłość, chociaż jej mieć nie powinien, co więcej, za sprawą Boga ma przyszłość taką, jakiej w żadnym razie jako człowiek odrzucony przez ludzi i Boga i dlatego zabity, nie powinien mieć, to i Kościół może (i powinien) spodziewać się siebie samego w przyszłości, która bynajmniej nie wyrasta w sposób zwyczajny i zwyczajnie oczywisty z jego przeszłości i teraźniejszości. Między tym, kim Jezus jest w oczach ludzi, a tym, kim On jest za sprawą Boga, stoi Jego śmierć. Między tym, czym Kościół w każdej chwili swojego istnienia jest w ludzkich oczach, a tym, czym w każdej chwili swojego istnienia jest i ma być za sprawą Boga, stoi śmierć.

Tezę tę spróbuję teraz zwięźle objaśnić w trzech perspektywach. Najpierw – odnosząc ją do historycznego punktu wyjścia, do samego początku historii Kościoła, czyli do tego, co czasem nazywane bywa jego „historią konstytutywną"; następnie rozważając nieco dokładniej to zaskakujące principium istnienia Kościoła, którym jest oczekiwane od niego w każdej chwili przejście przez śmierć; w końcu pokazując na dwu dość arbitralnie wybranych przykładach, jak principium to może się objawiać we współczesnej myśli o Kościele.

REKONSTRUKCJA POCZĄTKU
HISTORYCZNY PUNKT ODNIESIENIA TEOLOGII KOŚCIOŁA

Jesteśmy dzisiaj – przynajmniej jeśli chodzi o teologię systematyczną – w tej dobrej sytuacji, że rozumiemy lepiej niż wiele poprzednich stuleci historyczny punkt wyjścia, początek historii Kościoła. Dlatego, zanim odważę się na pokazanie pewnych możliwych dróg samozrozumienia i samookreślenia się przez Kościół w jego stosunku do własnej przyszłości, chciałbym zwięźle przedstawić ten właśnie punkt wyjścia.

Możliwa (chociaż dodam lojalnie: bynajmniej nie bez-kontrowersyjna) rekonstrukcja kilku przełomowych lat około roku 30 naszej rachuby czasu, z którymi wiąże się początek Kościoła, mogłaby wyglądać następująco:

a) Jezus z Nazaretu głosi oraz autorytatywnie i radykalnie na nowo interpretuje oczekiwanie przez Izraela na czasy mesjańskie – na królowanie Boga. Radykalizm Jego interpretacji polega na: 1. ukazaniu zupełnie nowego odniesienia do Boga (królowanie Boga w Jego rozumieniu oznacza nieznany w całej dotychczasowej tradycji Izraela rodzaj bliskości Boga i zażyłości z Nim), 2. konsekwentnie nowym sformułowaniu wymagań prawa, 3. przewartościowaniu powszechnie uznawanych hierarchii religijno-społecznych, 4. utożsamieniu nadejścia królowania Boga z Jego własnym przyjściem i działaniem.

b) Jezus zostaje oskarżony o bluźnierstwo i ukrzyżowany – co w oczach świadków Jego życia i działania oznacza odrzucenie Go (jako fałszywego Mesjasza) także przez Boga.

c) Kobiety, które nawiedziły Jego grób, rozpowszechniają wieść, że grób jest pusty. Musiało to mieć miejsce w bezpośrednim czasowym związku z Jego śmiercią, skoro pozwoliło później na zastosowanie do Jezusa formuły o sprawiedliwym, któremu Bóg nie pozwoli zniszczeć w grobie.

d) Ta wieść (przy całej swojej niewiarygodności i wieloznaczności) wywołuje zaniepokojenie i ponowne otwarcie „kwestii Jezusa", która wydawała się zamknięta przez Jego śmierć na krzyżu.

e) W kręgu Piotra (najprawdopodobniej za sprawą jego samego) pojawia się interpretacja tej wieści w dostępnych kategoriach starotestamentowych: „sprawiedliwy żyć będzie" – to Bóg podniósł Jezusa z martwych, to znaczy usprawiedliwił Go wbrew tym, którzy Go skazali. Jeśli zaś tak, to nie wolno porzucić sposobu życia (wierzenia Bogu), którego Jezus uczył i wymagał – lub raczej trzeba do tego sposobu życia powrócić.

f) Ci, którzy gromadzą się wokół Piotra i z nim razem decydują się na wiarę w sprawiedliwość Jezusa, to znaczy na urzeczywistnianie Jego orędzia, poznają, że Jezus jest i działa z nimi. Dlatego wszyscy, którzy w taki sposób zrozumieli wieść o pustym grobie (łącznie z kobietami, które były jej pierwszym źródłem), są opisywani jako ci, którzy Jezusa widzieli, jakkolwiek równocześnie zostaje zachowana i utrwalona nie historyczno-chronologiczna, ale ściśle teologiczna (eklezjologiczna) hierarchia „widzących". Pierwszeństwo według niej należy do interpretatorów tajemnicy Jezusa: to jest do Piotra, Jakuba, Jana, jedenastu (dwunastu), apostołów, pięciuset braci (których można zapewne utożsamiać z pierwszym popaschalnym zgromadzeniem uczniów wokół Piotra i innych wymienionych z imienia), Pawła...

g) Stają się oni (razem z Maryją, Matką Jezusa) świadkami i oparciem wiary w Jezusa dla wszystkich następnych.

h) Zgodnie z ich doświadczeniem w wielu współzależnych społecznych doświadczeniach (i od samego początku również w wyraźnej różnorodności doświadczeń i kultur) kształtuje się struktura społeczności tych, którzy należą do Jezusa zmartwychwstałego. Społeczność tę, która określana jest jako ekklesia tou theou, buduje słowo zbawienia w Jezusie Chrystusie (euangelion = dobra nowina) i urzeczywistniające jego sens znaki zbawienia (obmycie, łamanie chleba, włożenie rąk, namaszczenie). Ci, którzy tę społeczność tworzą, powołani są do ministerium Christi – służby, która nie tyle przedłuża, ile realnie uobecnia dzieło Boga dokonane w Jezusie.

Jest to rekonstrukcja, która może być dyskusyjna w szczegółach, ale nie co do zasady, która się tu ujawnia. Ta zasada obecna jest w życiu Kościoła i w dziejowych odmianach tego życia silniej i głębiej, niż się może wydawać. To ona

właśnie sprawia, że okoliczności zewnętrzne, w których Kościół się rodzi, rozwija, wypełnia swoją misję (a także obumiera) są zdecydowanie wtórne.

Uniwersalność tej zasady, jej zastosowanie do każdej nowej sytuacji i do każdej nowej epoki Kościoła, wymaga pewnego komentarza. Żeby nie przekroczyć ram zakreślonych dla mojego referatu, przedstawię go tu jedynie w postaci minimalnej – w odniesieniu do śmierci krzyżowej Jezusa jako istotnego momentu Bożego objawienia. Jeśli bowiem zasada ta prawdziwa jest na tym pierwszym miejscu, zastosowanie jej w tych wszystkich miejscach i czasach, w których Kościół przyjmuje dokonane w Jezusie objawienie, a więc do każdego momentu dziejów Kościoła, jest już tylko kwestią prostej konsekwencji.

W krzyżowej śmierci Jezusa musimy widzieć istotny i pozytywny moment samoudzielania się Boga. Moment śmierci zatem – właśnie dlatego, że w swojej istocie jest sprzeciwem wobec słusznego, ale ostatecznie nie wystarczającego ludzkiego pragnienia życia – powinien zostać przyjęty jako moment objawienia. W śmierci Jezusa objawia się cel i sens Bożego działania w ludzkiej historii (miłość do końca).

Jeśli zatem ten właśnie krytyczny moment jest samym sercem paschy jako ostatecznego wydarzenia objawienia, gotowość każdej społecznej postaci chrześcijaństwa, która pojawiła się, pojawia lub może się pojawić w historii, na „śmierć" razem z Chrystusem – to jest gotowość do radykalnego samozakwestionowania – należy uznać za kryterium wierności temu wydarzeniu, które chrześcijaństwo czyni chrześcijaństwem, a Kościół Kościołem.

Takiego samo-zakwestionowania nie należałoby zatem uważać za znak braku pewności czy chwiejności wiary przeżywanej i wyrażanej w Kościele. Przeciwnie, tego rodzaju radykalne samo-zakwestionowanie powinno być wprost chciane przez Kościół, który przyjmuje Boże objawienie – w każdym momencie, w którym to się dzieje, to jest w całej już przeżytej i jeszcze oczekiwanej historii Kościoła. Gdzie brak takiej gotowości, gdzie „umieranie" (w stosunku do rzeczy i form działania słusznych, ale niewystarczających) nie jest przeżywane jako istotny moment wiary chrześcijańskiej, wierność fundamentowi tej wiary jest zagrożona.

UCZESTNICTWO KOŚCIOŁA W WYDARZENIU PASCHALNYM

Postawię teraz i zwięźle objaśnię trzy ściśle ze sobą powiązane tezy. Oto one:

1. Treścią przyszłości Kościoła będzie nie co innego, jak tylko jego przeszłość.

2. Między nami a tak rozumianą przyszłością Kościoła zawsze stoi śmierć.

3. Jako Kościół możemy mówić o śmierci, poza którą mamy przyszłość, skoro uczestniczymy w zmartwychwstaniu Jezusa. Oznacza to jednak, że taka

nasza przyszłość nie jest ani przywróceniem, ani prostą kontynuacją naszej przeszłości.

Tezy te musiałem sformułować i przedstawić w takiej kolejności, bo taka jest ich wewnętrzna logika. Objaśnię je jednak teraz w kolejności odwrotnej – poczynając od ostatniej, a następnie wracając do pierwszej i drugiej. Objaśnić je można bowiem jedynie wychodząc od wiary w zmartwychwstanie Jezusa – dokładniej: od zasady uczestnictwa w Jego zmartwychwstaniu. Zatem Kościół może mówić o śmierci, poza którą ma przyszłość, skoro uczestniczy w zmartwychwstaniu Jezusa. Oznacza to jednak, że taka jego przyszłość nie jest ani przywróceniem, ani prostą kontynuacją jego przeszłości. Jest to teza złożona, ale w gruncie rzeczy nie twierdzimy w niej nic więcej, jak tylko to, że Kościół uczestniczy w zmartwychwstaniu Jezusa. Reszta jest konsekwencją. Czym więc jest to pierwsze i najważniejsze? Spróbuję to powiedzieć nie wchodząc ani w szczegóły egzegetyczne, ani w możliwe teologiczne wyjaśnienia tego, co przynosi analiza świadectwa biblijnego. Przed jednym i drugim jest bowiem wspólne (dokonywane w wierze, kościelne) doświadczenie tego, co się stało z Jezusem ukrzyżowanym. Co ono nam mówi? Najpierw to właśnie, że przynajmniej temu jednemu Człowiekowi – Jezusowi z Nazaretu, nie zdołano odebrać przyszłości, kiedy odebrano Mu życie. Okazało się, że zabity Jezus ma przyszłość. Więcej: że przyszłość należy właśnie do Niego. Nie można jednak w żadnym razie powiedzieć, że zostało Mu zwyczajnie przywrócone to, co utracił przez swoją śmierć. Nie można tego powiedzieć tym bardziej, że Jego życie toczy się dalej mimo Jego śmierci. On umarł naprawdę – i w tym sensie umarł bezpowrotnie. Może nawet trzeba powiedzieć, że Jezus umarł bardziej bezpowrotnie niż ktokolwiek inny, skoro nawet Jego grób jest pusty. A przecież okazało się, że ten Umarły żyje; że żyje nie kto inny, ale właśnie On – Jezus z Nazaretu. Wiele się zmieniło i nic nie jest tak samo, jak za Jego życia do śmierci na krzyżu, a przecież mamy do czynienia nie tylko ze wspomnieniem o Jezusie, nie tylko z historycznymi śladami Jego obecności, nie tylko z zapoczątkowaną przez Niego sprawą, ale na zupełnie nowy sposób z Nim samym. Właśnie dlatego mówimy, że Jego zmartwychwstanie nie jest ani tylko przywróceniem życia, które minęło, ani prostą jego kontynuacją, ani cudownym do niego dodatkiem, ale dzięki Bogu jest prawdziwą i prawdziwie nową przyszłością tego, co samo w sobie minęło. Skoro zaś Kościół uczestniczy w zmartwychwstaniu Jezusa, może na tej podstawie powiedzieć także o sobie samym, że treścią jego przyszłości będzie nie co innego, jak tylko Jego (to jest też nasza) przeszłość (teza 1), a zarazem, że to, co było, mamy teraz otrzymać zupełnie inaczej, skoro między nami a tak rozumianą przyszłością Kościoła stoi śmierć (teza 2). Zauważmy, że oba te stwierdzenia łączą się ściśle ze sprawą, na którą zwróciłem uwagę na wstępie: mianowicie, że to, co (teraz) ma być z Kościołem, nie jest pierwotnie przedmiotem marzeń, postulatów czy prognoz. Nie chodzi tu jedynie o oczywistą niedostępność przyszłości, jak długo jest ona przyszłoś-

cią. Przyszłość, o której teraz mówimy, jest dla nas samych niedostępna radykalnie. Kluczem do niej jest bowiem stojąca zawsze między nami a nią śmierć.

ZNAKI ŚMIERCI - ZNAKI ŻYCIA DWA PRZYKŁADY

Żeby to, co zostało dotąd powiedziane nieco konkretniej związać z doświadczeniami Kościoła naszego czasu, posłużę się odniesieniami do dwu bardzo różnych sytuacji i postaci – jednego z świadków martyrium Kościoła w niedawnej przeszłości i jednego z najwybitniejszych współczesnych biskupów.

W roku 1977 działający w tak zwanym podziemiu czeski teolog Oto Mádr napisał niewielki artykuł zatytułowany *Modus moriendi Kościoła*[3]. Tytuł nawiązywał do wypowiedzi arcybiskupa A. Casaroliego, który jako delegat Papieża do toczących się wówczas pragmatycznych rozmów z rządami krajów socjalistycznych, miał powiedzieć: „W Polsce chodzi o modus vivendi, na Węgrzech o modus vivendi vel moriendi, w Czechosłowacji już tylko o modus moriendi Kościoła". Tekst Mádra był próbą poważnego potraktowania ostatniej części tego zdania. Pragnął on pokazać, że umieranie może być prawdziwym i ważnym zadaniem Kościoła rozumianego jako rzeczywistość ostatecznego spotkania Boga z ludźmi, że Kościół może przyjmować śmierć i w pewnym sensie musi to czynić, nawet jeśli skądinąd wie, że „bramy piekielne go nie przemogą" (Mt 16, 18). To, że Kościół jako Kościół Chrystusa ostatecznie nie zginie, nie znaczy wcale, że nie może zginąć taka czy inna jego postać, albo też, że nie może on zginąć jako Kościół lokalny. Wychodząc w taki właśnie pogłębiony sposób od realnego umierania Kościoła w swoim kraju Mádr doszedł do sformułowania pewnej zasady fundamentalnej, to jest takiej, którą w pamięci powinien mieć nie tylko Kościół lokalnie umierający, ale także (albo zwłaszcza) Kościół, któremu dobrze się powodzi. Tak rozumiany tekst Mádra zachował aktualność i może dzisiaj czytać go należy jeszcze uważniej niż wówczas, kiedy powstał. Oto najważniejsze tezy tego tekstu:

1. W Kościele toczy się trojaki proces: narodzin – rozkwitu – zanikania. Te trzy momenty zachodzą stale i równocześnie.

2. Kościół rodzący się to nie jest jedynie sprawa czasów apostolskich. Kościół rodzi się wraz z każdym nowym wierzącym i z każdą nową społecznością.

3. Kościół kwitnący jest stadium najdojrzalszym, w którym wszystkie potrzeby wydają się zaspokojone i istnieje poczucie pewności. Dlatego to stadium wydaje się normą.

4. Kościół umiera nie tylko wskutek czynników zewnętrznych (presji kulturowej, prześladowania), ale jeszcze bardziej z powodu upadku intensywności życia z wiary.

---

[3] O. M á d r, *Modus moriendi církve*, w: tenże, *Slovo o této době*, Praha 1992, s. 237.

5. W tym ostatnim stadium życia Kościoła pozostają istotne zadania: a) przyjąć śmierć – to jest nie uchylać się przed nią, ani nie szukać taniej, zastępczej pociechy; b) intensywnie żyć tym, co jest istotą wiary; c) dawać, co mamy najlepszego; d) nie umrzeć – to znaczy nie zgodzić się na pasywne samobójstwo. Nie ma powodu twierdzić, że chrześcijaństwo jako całość jest bliskie śmierci, chociaż wiele z tego, co dzieje się na naszych oczach, tak właśnie można odczytywać. Chrześcijaństwo nie jest dzisiaj w żadnym razie bliższe śmierci, niż było w jakimkolwiek innym momencie swoich dziejów. Jest jednak z pewnością tak, że z wielu miejsc dawnego i dzisiejszego chrześcijaństwa śmierć daje znaki. Tak się składa, że są to miejsca ważne dla jego dotychczasowych i przyszłych losów. Tyle tylko, że znaki, które nam daje śmierć, są same w sobie indyferentne, niekoniecznie, a przynajmniej nie od razu wiadomo, co mogą one nam powiedzieć i do czego mogą nas doprowadzić.

Stąd potrzeba jeszcze innego, tym razem pozytywnego odniesienia. Kardynał Carlo Maria Martini na Synodzie Biskupów w 1999 roku, wobec postawionych przez Synod pytań, przedstawił trzy „sny" o Kościele, ułożone według biblijnego obrazu uczniów w drodze do Emaus[4].

Pierwszym jest to, by coraz większa zażyłość poszczególnych chrześcijan i wspólnot chrześcijańskich z Pismem czytanym i rozważanym w modlitwie indywidualnej i wspólnej doprowadziła do doświadczenia „pałającego serca", o którym mówi Ewangelia Łukaszowa.

Drugim, że parafia będzie nadal uobecniała przez posługę kapłańską, profetyczną i diakonalną (charytatywną) „łamanie chleba" jako pierwsze dzieło Kościoła, który poznał, co się stało i skąd jest. Jest to zatem kluczowa dla kształtu kościelnej społeczności sprawa skupienia wokół (najszerzej rozumianego) łamania chleba na każdym miejscu, gdzie są świadkowie zmartwychwstania, różnych możliwych form życia społeczności kościelnej: grup, idei, pomysłów, ruchów – i ich integracja z kościołem lokalnym (parafia, diecezja). „Gdzie urzeczywistnia się skutecznie doświadczenie komunii i współodpowiedzialności, Kościół łatwiej okazuje się znakiem nadziei i wiarygodną propozycją wobec objawów rozpadu życia społecznego i etycznego, które tak wielu tu z ubolewaniem stwierdzało"[5].

Trzeci „sen" polega na tym, by w nawiązaniu do spiesznego powrotu uczniów z Emaus do Jerozolimy w celu spotkania się z apostołami co jakiś czas w stuleciu, które się rozpoczyna, powtarzało się doświadczenie powszechnego spotkania i wymiany doświadczeń między biskupami – tak by możliwe było rozwiązanie palących kwestii, które wciąż na nowo stają przed kościołami.

[4] Na podstawie oświadczenia rzecznika prasowego kardynała C. M. Martiniego, opublikowanego na stronie www.diocesi.milano.it.

[5] Tamże. Tłum. cytatu – ks. T. Węcławski.

„Nie są z pewnością dobrymi narzędziami dla zmierzenia się z tymi kwestiami ani badania socjologiczne, ani zbieranie podpisów, ani grupy nacisku". „Niektóre z tych kwestii potrzebują rozwiązania kolegialnego, bardziej powszechnego i autorytatywnego, tak by można z nimi było się zmierzyć w wolności, w pełnym urzeczywistnieniu kolegialności biskupów, w posłuchu dla Ducha i w poszukiwaniu dobra Kościoła i całej ludzkości"[6].

W oświadczeniu dla prasy (po spekulacjach, że chodziło mu o nowy sobór) kardynał Martini podkreślił, że miał na myśli podkreślenie współodpowiedzialności biskupów za Kościół, bez szczegółowego wskazywania rozwiązań i sposobów, przez które miałaby ona dochodzić do głosu.

EPILOG

Czy można z takich przesłanek wyciągać wiążące wnioski – tworząc elementy wizji Kościoła trzeciego tysiąclecia? Jeśli miałoby chodzić o pewne elementy gotowe czy też o prognozy, z pewnością nie. Jeśli chodzi o zrozumienie danej nam raz na zawsze zasady, przez którą jest Kościół i mocą której przemawia także do ludzi, nie mogących się wciąż na nowo pogodzić z jego istnieniem i kształtem - z pewnością tak. Przyszłością Kościoła jest Bóg.

Na koniec pozwolę sobie na małą medytację, której punktem wyjścia i oparciem jest to szczególne miejsce, na którym Bóg jest Bogiem – to, na którym umarł i powstał z martwych Jezus, który gromadzi Kościół. To, co właśnie powiedzieliśmy, znaczy bowiem także: Bóg nie jest niczym w swoim Kościele i jest wszystkim dla swojego Kościoła. Boga, który wskrzesił Jezusa, nie można spotkać bez Kościoła – ale przecież Kościół, dzięki któremu Go spotykamy, sam na żadnym miejscu nie jest Bogiem. Nie ma zatem w Kościele (widzialnym – czyli takim, jakim przedstawia się on dzisiaj naszym oczom) niczego, co by miało Bożą moc i Boży autorytet samo w sobie i samo z siebie. Zarazem jednak skoro Bóg, który nie jest niczym w Kościele, jest wszystkim dla tego Kościoła, pytanie o Niego nie jest nigdy pytaniem abstrakcyjnie subtelnym albo „czysto duchowym", nie jest nigdy pytaniem bezcielesnym, bezbarwnym, bezdźwięcznym i bez smaku – nawet jeśli żaden znany nam smak nie jest jego własnym smakiem i żadna barwa nie jest jego własną. Smakiem, barwą, zapachem, kształtem i dźwiękiem tego pytania – a więc jego ciałem – jest dla nas bowiem właśnie Kościół – taki, jaki każdorazowo jest, i jaki jeszcze może być. Nie znaczy to przecież, że zupełnie od nas nie zależy to, jaki jest to smak. Kościół bardzo łatwo staje się w naszych oczach i uszach, w naszych ustach i dłoniach tym właśnie, czym my sami go czynimy. Wprawdzie nie jest dla nas nigdy tylko tym, czym my jesteśmy dla niego, ale zawsze jest także tym: dlatego właśnie jest

[6] Tamże. Tłum. cytatu – ks. T. Węcławski.

wymaganiem dla wymagających, miłosierdziem dla miłosiernych, ciężarem dla tych, którzy swoje ciężary przerzucają na innych, i przebaczeniem dla tych, którzy umieją przebaczać. Kościół Jezusa Chrystusa nie jest jednak nigdy tylko tym. Jest więc także możliwością przebaczenia dla tych, którzy nie zgodzili się nosić cudzych ciężarów i miłosierdziem dla tych, którzy umieli tylko wymagać, podobnie jak jest wciąż nowym wymaganiem miłosierdzia dla miłosiernych i śmiertelnym ciężarem przebaczenia dla przebaczających. Wszystko to stanowi ten sam, dzisiaj dla nas widzialny i dotykalny Kościół, i sprawia, że taki Kościół nigdy nie mieści się w sobie, że zawsze przerasta sam siebie i każdego, kto go współtworzy. Teologicznie mogę to ująć w lapidarną formułę: przyszłością Kościoła jest Bóg.